Rocznik I. Kraków, dnia 15. stycznia 1897. Nr. 2.

Prenumerata wynosi: kwartalnie w Austryi 1 złr., w Niemczech 2 m., (numer pocztowy 107 a, t. poln.) w innych krajach 3 fr.

ŚWIATŁO
DWUTYGODNIK ILLUSTROWANY.
WYDANIE KRAKOWSKIE.
Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Dr. Feliks Koneczny, Kraków, ulica Wolska 21.

LITERATURA GÓRNOŚLĄSKA.

Poezya jest nader pozytywnym czynnikiem w życiu, sprawia bowiem częstokroć realne skutki, zupełnie realne, namacalne, które się dadzą zmierzyć i obliczyć. Mogą one być dodatnie lub ujemne, bo jak ze wszystkiego, tak też z poezyi można zrobić użytek właściwy i niewłaściwy, zły i dobry; w tym wypadku zależy to od kierunku i rodzaju wykształcenia w społeczeństwie. Najlepiej jest, gdy ogół nie wymaga od poetów niczego więcej, jak tylko, żeby się wyśpiewali; wtenczas realne korzyści z ich natchnienia spłyną na naród same przez się, a obficiej i będą tylko dodatnie; gdy się zaś wprost od nich wymaga bezpośrednich jakichkolwiek wyników praktycznych z pieśni, bywa już rozmaicie. — Faktem jest, że dopóty narodowość pewnej ziemi nie jest utwierdzoną, póki na niej nie wykwitnie poezya artystyczna, t. j. świadoma swego powołania, w odróżnieniu od ludowej, która istnieje wprawdzie wszędzie i zawsze, lecz nieświadomie. Co do nas, uważamy np. za utwierdzenie unii z Litwą działalność Mickiewicza, a „szkołę ukraińską“ za niezmazane piętno polskiej kultury nad tym krajem. Walka o odzyskanie Śląska nie byłaby tak ciężką, gdyby nie wybitne stanowisko śląskich Niemców w historyi literatury niemieckiej.



Ks. KONSTANTY DAMROTH
(CZESŁAW LUBIŃSKI).

Dzisiaj powinnoby nam być o dużo łacniej na Śląsku austryackim, niż na pruskim; a jednak Cieszyńskie jest niemal zerem w porównaniu z życiem polskiem na Górnym Śląsku, gdzie ruch narodowy w obronie języka i tradycyi, nie ślizga się po wierzchu, lecz sięga głęboko. Towarzyszy jednak temu zjawisku drugie, że tam istnieje obfita literatura prowincyonalna, samorodna i samodzielna, która się rozwija nie dbając nawet, czy w Krakowie i w Warszawie dużo o niej wiedzą. Tam też wytrysnęło nowe źródło poezyi polskiej, które kiedyś w wartki zamieni się strumień. Jestto najlepszą rękojmią, że Śląsk Górny nie przestanie już być polskim, podczas gdy Cieszyńskie możeby nie wytrzymało takiego prześladowania...

Z tych powodów, zagajamy szereg artykułów o literaturze górnośląskiej, podaniem wizerunku ś. p. księdza Konstantego Damrotha, który pod pseudonimem Czesława Lubińskiego, stanął na czele poetów górnośląskich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

POLITYCZNY LUTERANIZM.

Dyskusya o stempel dziennikarski i kolporterkę, była bardzo pouczającą. Wystąpiły przeciw zniesieniu tych zabawnych rogatek głosy ze stronnictwa konserwatywnego, tłómacząc światu, że ułatwienie wymiany myśli wyjdzie na dobre tylko pismom działającym ujemnie na rozwój społeczeństwa. Rzecz doprawdy niepojęta! chyba tkwi w tem przyznanie, że cechą ludzi „poważnych“ musi być koniecznie safandulstwo, brak energii i wogóle jakaś ślimacza natura.

Powiedział jeden z mowców w Kole polskiem, że Stańczyk musi być za tymi materyalnymi hamulcami prasy. W „Czasie“ pojawił się artykuł w formie korespondencyi, że gdy pozostawi się zupełną swobodę agitacyi drukiem, strach, co się nie będzie dziać po wsiach!



GRUPA AMATORÓW, BIORĄCYCH UDZIAŁ W PRZEDSTAWIENIACH PASYJNYCH W RYBNIKU.

Gdyby większe koszta publicystyki miały być rękojmią lepszego jej prowadzenia się, musieliby ludzie zamożniejsi być gotowi do poświęceń, t. j. do dopłacania na rzecz prasy dobrej. Nie, mecenasi nigdy nie bywali regułą, oni zawsze i wszędzie należą przecież do wyjątków. A więc ograniczyć publicystykę do sfery pełniejszych sakiewek, znaczy tyle, co zagważdżać ją.

Strach przed kolporterstwem i zwiększoną agitacyą nie jest też poprostu niczem innem, jak wygodnisiostwem, obawą, żeby się samemu nie musiało agitować, albo też przyznaniem, że się jest do tej czynności, dziś tak potrzebnej, niezdarnym. To źle, to bardzo źle! Trzeba się na gwałt tego uczyć, bo inaczej — grozi śmierć.

Frazes, że zło zawsze się bardziej szerzy i łatwiej przyjmuje, niż dobro — niema sensu; jest herezyą naukową wobec historyi, wobec postępu ludzkości, a u nas, w Polsce, takie zdanie brzmi monstrualnie. W najszlachetniejszem w Europie społeczeństwie, ma dobro znacznie więcej powabów od zła, a idealizm tak silnie jest zakorzeniony, że nie zdołał go wyrwać nawet ten fatalny nasz system wychowania publicznego. Stanowczo łatwiej od zła szerzy się dobro, ale oczywiście pod warunkiem, żeby je szerzyć. A czy ten wa-

runek spełniacie? Czy jest wśród was jakikolwiek ruch, ba! choćby ochota do ruchu?! Założyliście ręce i kiwacie głowami, że świat się psuje!

Powiedział bardzo mądrze Cesare Cantù: *„Caminerebbe ben altro il mondo, se i buoni avessero negli loro consigli tanta perseveranza, che i mali“*. — Inaczej wyglądałby świat, gdyby dobrzy brali się do dzieła tak rączo i wytwale, jak źli.

Nie wzywajmy Pana Boga nadaremno; niech nam wystarczy przywilej dany dobru, że *caeteris paribus* ono łatwiej się udziela od zła, a postarać się o te *caetera paria* jest naszym obowiązkiem. Kto tego dziś nie czyni, tyle waży w życiu publicznem, ile ów motyl, w bajce Krasickiego, na ładownym wozie. Doprawdy, przy apatyi starszego konserwatywnego obozu, trzebaby cudu z nieba, żeby się z nim nie stało to, co w sąsiedztwie ze Staroczechami.

Jeżeli zło szerzy się bardziej, toć tylko przez gnuśność, lenistwo i małostkowość tych, którym



PAN JEZUS U ANNASZA.

wystarcza wyznawać pewne zasady, ażeby się już uważać za usprawiedliwionych. Nasi konserwatyści, to istni luteranie w polityce krajowej; wystarcza im wiara, a o uczynki się nie troszczą. A gdy potem po drugiej stronie wzniosą się góry z uczynków i przygniatają ich, oni zamiast w sobie samych szukać winy — zaczynają filozofować i stwarzają polityczną metafizykę o rozmaitej prężności, czy różnym ciężarze gatunkowym zła i dobra!

Ilekroć zło szerzy się bardziej od dobra, natenczas z pewnością grasował przedtem przez długi czas — polityczny luteranizm. To jedna strona przedmiotu, strona smutna; a teraz przejdźmy do drugiej — zabawnej.

Zabawnem jest bowiem walczyć przeciw kolporterce w tej myśli, żeby jej nie wyzyskały pisma nazwane złemi — skoro właśnie te pisma mają przecież oddawien kolporterkę i to zorganizowaną wybornie! Wiedzą o tem wszyscy, wiedzą o tem doskonale władze, które znają po imieniu kolporterów, ale nie mogą zastosować rygoru ustawy, boby z tego było dziesięć razy więcej szkody, niż korzyści. Jestto własnością każdej, a każdej przestarzałej ustawy, że w zmienionych warunkach społecznych staje się ona wręcz niewykonalną. Gdyby władze galicyjskie chciały wytępić nielegalne kolporterstwo, narażałyby na szwank swą powagę o przeróżne błahostki, kwalifikujące się raczej do

humorystyki, niż do polityki, a skutek byłby taki, że kolporterstwo rozwinęłoby się w lot na większą skalę, bo „więzienie stanu“ za sprzedanie np. numeru „Naprzodu“, dodałoby sprawie uroku. Wypowiedziano twierdzenie, że nielegalna kolporterka musi bądźcobądź zwalczać przeszkody, usuwać trudności, a więc przynajmniej nie może się rozwinąć należycie. Frazes! Konserwatystom się zdaje, że socyaliści tak samo gnuśni, jak oni, i że dbają o trudności, lub że się boją przeszkód, które zresztą w tym wypadku są z natury rzeczy tak nieznaczne, że nawet nie zasługują na tę nazwę. Legalność kolporterki tyleby tylko zmieniła, że sprzedawałoby się jawnie, co na ilość sprzedanych egzemplarzy wcale nie wpływa. Owszem, są rzeczy i sprawy, które na jawności tracą. Lepszej organizacyi kolporterki przez jej legalność przecież nie zyskają; więc o co chodzi?

Zakaz swobodnego kolportowania ciąży jednak fatalnie na tych, którzy chcą działać w obrębie



PAN JEZUS PRZED PIŁATEM.

ustaw. Niemogąc się narażać na nieprzyjemności, niemogąc się kompromitować, a zresztą czując zasadniczy wstręt do obchodzenia ustaw, nie urządzają całkiem kolporterki i — są nieobecni na placu najgorętszego boju. Nielegalności dopuszczać się nie chcą i z zasady nie mogą, a legalność zwraca się przeciwko nim samym; ponoszą klęskę dlatego, że szanują ustawy! A to ładna obrona ładu społecznego! ależ to niedźwiedzia usługa, od której „stronnictwa porządku“ powinny się grzecznie wymówić. Ustawę zaś, która krępuje już wyłącznie tych tylko, których rzekomo ma bronić, należy co rychlej rzucić między stare rupiecie biurokratyczne.

Stempel dziennikarski nie więcej też ma wartości. Gdyby socyaliści chcieli mieć tygodnik, a nawet dziennik, mieliby go z pewnością, pomimo stempla; wszak wiadomo, że ofiarność wśród nich wielka, a ich zagraniczne centralne kasy stać na to niewątpliwie już teraz; gdyby im na tem zależało, postawiliby z pewnością na swojem, boć oni nie tacy gnuśni, jak konserwatyści. Nie rozumiem jednak, do czegoby im było potrzeba wielkich dzienników?! Do agitacyi małe gazetki właśnie najlepsze, a że te nie wychodzą dość często, tłómaczyć to należy nie stemplem, ale tem, że socyalistów jest u nas jeszcze za mało. Poczekajmy, pozwólmy im wzróść pięciokrotnie, dopomagajmy im do tego nadal „zakazem“ kolporterki, a będą ich

pisemka wychodzić częściej, choćby nawet podwojono należytość stemplową. Gdy ich będzie więcej, będą też mieli większe fundusze na polską prasę.

Stempel zwraca się nie przeciw temu lub owemu stronnictwu, lecz przeciw ubogim ludziom wogóle, jakiegokolwiek stronnictwa. Jestto nieświadome oddanie prasy pod dozór kapitału, a zatem wyborny sposób do demoralizacyi publicystyki; czem bardziej wydawca musi się liczyć z groszem, tem mniej będzie w gazecie — prawdy. Ograniczanie zaś prenumeratorów do tych, którzy mogą płacić o 25 ct. miesięcznie więcej (koszta stempla), jest w sam raz dobrym środkiem, żeby oddać na pastwę stronnictw przewrotu tych wszystkich, którzy nie mogą dodać tych 25 ct. na miesiąc, a zatem trzech czwartych części ludności. W takich warunkach doszliśmy do — powszechnego głosowania! Należało na kilka lat przedtem postarać się wpierw o dobrą popularną prasę!

Socyalizm ma tę wygodę, że do szeregów jego



UKORONOWANIE CIERNIEM PANA JEZUSA.

należy mnóstwo osób niemających nic do roboty, a niemogących marnować czasu na baletnice, faraonka, dżokejstwo itp., (gdyby bowiem mogli, robiliby to z pewnością!) Osobom tym nie zawadza ani czas, ani przestrzeń; wszędzie i zawsze można ich posłać, ilu potrzeba; toteż stronnictwo to prowadzi na wielką skalę agitacyę żywem słowem, a gazetki są dla niego rzeczą bardzo podrzędną. Z natury rzeczy musi być przeciwnie u wszystkich stronnictw społecznego ładu; wśród ich stronników niema takich ludzi, bo tu każdy ma robotę, jest przywiązany do miejsca, jest niewolnikiem kalendarza i zegarka; agitacya musi tedy polegać głównie na gazetkach. Otóż, gdyby nie stempel, możnaby w Galicyi wydawać pisemko polityczne, wychodzące trzy razy na tydzień, a kosztujące mniej więcej 20 ct. miesięcznie. Dziś musiałoby ono kosztować około 50 ct., a to jest stanowczo za drogo.

Tak tedy stempel i skrępowanie kolporterki zwracają się właśnie przeciw stronnictwom społecznego ładu; nie jestżeż tedy zabawnem, że konserwatyści tych ustaw bronią?!

Powołują się na inne kraje, twierdząc, że tam zła prasa nabrała przewagi nad dobrą. Otóż faktem jest przedewszystkiem, że Polacy znają złe zagraniczne dzienniki, a nie znają dobrych. Niemniej przeto istnieje rzeczywiście przewaga złej woli w publicystyce włoskiej, francuskiej i po części w nie-

mieckiej; ale to nie dla braku stempla!!! Przyczyna tkwi głębiej, a mianowicie w coraz większem usuwaniu się ludzi poważnych i szlachetnych od życia publicznego; więc rej wodzą handełesy wszech stronnictw. Ale dlaczego niema tego w Anglii, nie mówiąc już o kilku drugorzędnych państwach, które również stempla nie znają?

Twierdzą, że pewna kosztowność prasy jest wałem ochronnym przeciw zdemoralizowaniu jej. Otóż, jako żywo, nigdy moralność nie zależała od pieniędzy! Co za pomięszanie pojęć! Jeżeli chodzi o usunięcie z prasy żywiołów nie przynoszących jej zaszczytu (bez względu na stronnictwo), trzeba się jąć nie finansowych środków, lecz zgoła innych. O tem innym razem.

Pozostaje argument, że państwo ma dochód ze stempla. Bieda z tem „nowożytnem państwem", skoro ono, chcąc istnieć, musi się wyrzec skrupułów co do źródeł swoich dochodów. Ale co za posucha u nas na pomysły, że też niema czem tego podatku zastąpić! Rzeczywiście, z rzeczy potrzebnych niema już ani jednej, którąby nie była srodze opodatkowana; pozostają już tylko przedmioty zbytku: Bieda, wielka bieda!

Świat wogóle się psuje; spokoju już mieć nie można, ciągły ruch, wciąż trzebaby mieć oczy otwarte, a na ręku zakasany rękaw; zakwestyonowane święte prawo poważnej drzemki — i ani razu nie można już wypocząć przed pracą. Młodsze pokolenie zaczyna coś zawodzić; gdyby im pozwolić, każdy z nich chciałby być agitatorem, każdy z nich ciągle ma coś do roboty, wszędzie upatruje jakieś pole do działania. Psuje się wiara konserwatywna, młodym zachciewa się uczynków...

Tak jest, uczynków! Wiemy, że konserwatyści starszego piętna nie pójdą w ten nowy świat; trzeba zresztą świeżych sił i nie zmęczonych, żeby się rzucić w ten wir, wrzawę i — pył; trzeba do tego innych natur, wyhodowanych już w owych zmienionych warunkach, bo takie tylko zdołają się w nich oryentować. Nie zepsuł się bowiem świat, tylko się zmienił, lecz stanowczo i — nieodwołalnie. Wymaga to kardynalnej zmiany taktyki. Teraz już nanic polityka świecenia nieobecnością; prosimy tedy o zniesienie wszelkich baryer, które nam niepotrzebnie tamują pochód. Teraz już nanic polityka zamykania oczu na wszystko, czego się widzieć nie chce; więc prosimy o zniesienie wszelkich sztucznych ścian i przegródek, zasłaniających niepotrzebnie horyzont.

PRZEDSTAWIENIA PASYJNE W RYBNIKU.

W r. 1891 założono w Rybniku, na Górnym Śląsku, towarzystwo polsko-katolickie pod opieką św. Alojzego; zapisało się liczne grono młodzieży i starszych ze stanu robotniczego, a na czele Towarzystwa stanął ks. wikary Miczek. Gdy się zbliżały święta Bożego Narodzenia, postanowił ksiądz prezes przedstawić z kilkoma członkami pastuszków w Betleem; zachęcony powodzeniem, a poznawszy między przedstawicielami zdolności niemałe, bystrość pojęcia i zręczność wykonania, zapragnął przedstawić w wielkim poście 1892, coś z męki Pańskiej. Nie posiadano ani tekstu, ani obrazów z Oberammergau, ale się o to nie wiele turbowano. Zestawiwszy tekst wszystkich czterech ewangelij, z małemi dodatkami i zmianami, podzieliwszy go na sześć aktów, otrzymano tekst znacznie stosowniejszy od niemieckiego. Tekst z Oberammergau jest bowiem ułożony zupełnie dowolnie i o tyle tylko opiera się na Piśmie św., że główne sceny grupują się podług niego; zresztą występuje tam bardzo wiele osób, o których Pismo św. wcale nie wspomina, a nawet całe sceny są dodane według legend średniowiecznych; toteż tekst rybnicki lepszym jest ze względów kościelnych.

Sam ksiądz Miczek nie był nigdy w Oberammergau, ale idąc za pewnym popędem wewnętrznym, zaufał swym własnym siłom, opartym na zapale i inteligencyi polskiego ludu. Nikt go nie zachęcał; przeciwnie! Czyż to nie rozumie się samo przez się, że mu nawet odradzano?! Ach, do odradzania wszędzie pełno ludzi, tylko do przyłożenia rąk nikt się nie zgłosił, prócz tych robotników polskich, o których przestrzegano inicyatora w ten sposób: „Jakże można naszych robotników porównywać z Oberammergauczykami; tamci są wyuczeni i wyćwiczeni w przedstawieniach od dziecięcych lat, mają wykształcenie, zręczność. Nasi robotnicy polscy zaś nie mając wyższego wykształcenia, czegoś podobnego przedstawić nie zdolni. Jakże nasz robotnik będzie na scenie mówił i obra-

cał się, skoro on w potocznej mowie źle się wyraża, a rusza się niezgrabnie".

Słowa te są autentyczne, a pochodziły z ust stanowczo życzliwych, lecz małej wiary. Gdy jednak Towarzystwo św. Alojzego w Rybniku odegrało dnia 9 marca 1892, poraz pierwszy publicznie Mękę Pańską, odradzający zamienił się w entuzyastę i mógł tylko zawołać: „Tegom się nie spodziewał!"

Zaraz w pierwszym roku było na czterech przedstawieniach do trzech tysięcy widzów, przeważnie z parafii rybnickiej, gdyż w dalszych stronach mało kto wiedział o przedstawieniach. W roku 1893 policya nie chciała zrazu dać zezwolenia, ale gdy zarząd Stowarzyszenia energicznie się upomniał, zezwolono; na sześciu przedstawieniach było około 5.000 widzów. W r. 1894 było siedm przedstawień. Obecni wówczas ks. kanonik Nerlich z Piekar i ks. proboszcz Thiel z Rudna, znający przed-



SZYMON CYRENEJCZYK POMAGA NIEŚĆ KRZYŻ PANU JEZUSOWI.

stawienia w Oberammergau, orzekli, że rybnickie równają się z niemi pod wielu względami, a ostatnie sceny, mianowicie droga krzyżowa i śmierć na krzyżu, przedstawiają się w Rybniku lepiej. W roku 1895 było już ośm przedstawień, a widzów 7.000; wreszcie w zeszłym roku dała się bardzo już uczuć szczupłość miejsca.

Przedstawienia te wywierają wielki wpływ moralny na ludność; miejscowe doniesienia stwierdzają, że wielu ludzi zaniechało złych nałogów pod wpływem tych pasyj. Jak zaś zapatrują się na nie sami robotnicy-aktorowie z Rybnika, niech poświadczy głos jednego z nich:

„My czynimy, co możemy; modlimy się przed każdem przedstawieniem, prosząc Boga i Świętych o pomoc. Ta modlitwa sprawia, że amatorzy są przejęci duchem modlitwy, duchem świętym religii. Ich całe postępowanie, ich ruchy i mowa, pozostają pod wpływem tych uczuć religijnych i na widzów je przenoszą. Amatorzy sami mówią, że ich napełnia pewna tajemnicza gorliwość dla świętej sprawy podczas gry i że zapominają o tem, że są robotnikami, a czują się nawskróś przejęci swemi rolami".

Podajemy grupę amatorów, tudzież cztery ryciny według fotografij z przedstawienia, zwracając uwagę, że brak na nich dekoracyj, zdjęto je bowiem nie na scenie; artystycznego układu nikt im nie odmówi. Zważyć należy, że Towarzystwo

św. Alojzego rozporządza nader małymi środkami i w nie jednej rzeczy musi sobie radzić nie jakby chciało, lecz jak może. Bądźcobądź, sprawa ta świadczy zaszczytnie o ludności robotniczej Rybnika, a z doświadczenia czcigodnego księdza Miczki należy wysnuć następujący wniosek:

Gdy chcesz zrobić coś dobrego, a ludzie ci odradzają — zdwój zapał i idź naprzód!

KRÓLEWSKIE VOTA.

Władysław IV., wielki czciciel Maryi, pielgrzymował kilkakrotnie na Jasną Górę; za jednej z takich pielgrzymek, ofiarował na głowy Najświętszej Panny i Dzieciątka Jezus, korony tak bogate, a przytem tak wspaniałe, że żadne chyba inne cudowne miejsce nie mogło się poszczycić takiem votum. Opiszemy większą koronę Matki Bożej.

Korona miała kształt mitry. Kompozycya składa się z figur i ornamentów. Sam środek mitry zajmuje postać Matki Boskiej Bolesnej, u stóp której leży zdjęte z krzyża ciało Chrystusa Pana (Pietà). Twarz, włosy, ręce, suknia były z emalii w kolorze naturalnym; również ciało Zbawiciela. Korona na głowie, nimbus i miecze ze złota; miecze i złoty szlak od sukni wysadzane drogiemi kamieniami. Gwiazda płomienista nad głową Matki Bożej ze złota, drogich kamieni i emalii. Aniołowie w emalii, skrzydła ze złota i klejnotów. Krzyż w górze złoty, wysadzany kamieniami. Obręcz u dołu korony, oparta o czoło wizerunku N. M. P. Częstochowskiej, była z pereł we dwa rzędy, pomiędzy któremi umieszczono narzędzia męki Pańskiej ze złota i kamieni. W samym jej środku chustka św. Weroniki z twarzą Chrystusa, emaliowaną w kolorach naturalnych. Brzeg zewnętrzny mitry zakończony jakby koronką z liter i arabesek kwiatowych ze złota i kamieni. Pomiędzy górnym brzegiem a dolną obręczą floresy z kamieni oprawnych w złoto.

Korona na głowie Dzieciątka Jezus nie była w kształcie mitry, lecz królewska, tj. zamknięta, ze złota i kamieni, w stylu XVI. wieku.

Vota te, złożone przed r. 1642, były w Częstochowie jeszcze w r. 1681. Co się potem z niemi stało, niewiadomo; czy przeszły w ręce wroga, czy też może, jako ofiara klasztoru, na potrzeby Ojczyzny?..

Piękny ten zabytek sztuki jubilerskiej nie byłby nawet doszedł do wiadomości naszych czasów, gdyby nie to, że korony te wymalowane były na obrazie N. Panny Częstochowskiej, malowanym na miedzi, a ofiarowanym przez księży Paulinów któremuś z książąt Ostrogskich, który używał go jako obrazu obozowego; z biegiem czasu obraz dostał się do pewnej cerkwi unickiej, a potem wyrzucony z niej przez Moskali, przeszedł w posiadanie pewnego księdza na Podolu. Obecnie znajduje się w zbiorach hr. Konstantego Przeździeckiego, który też zajął się zbadaniem historycznem przedstawionych na nim, a dziś już nie istniejących koron. Wyniki swych badań ogłosił w „Sprawozdaniach komisyi do badania historyi sztuki w Polsce“, tom IV, str. XIV.

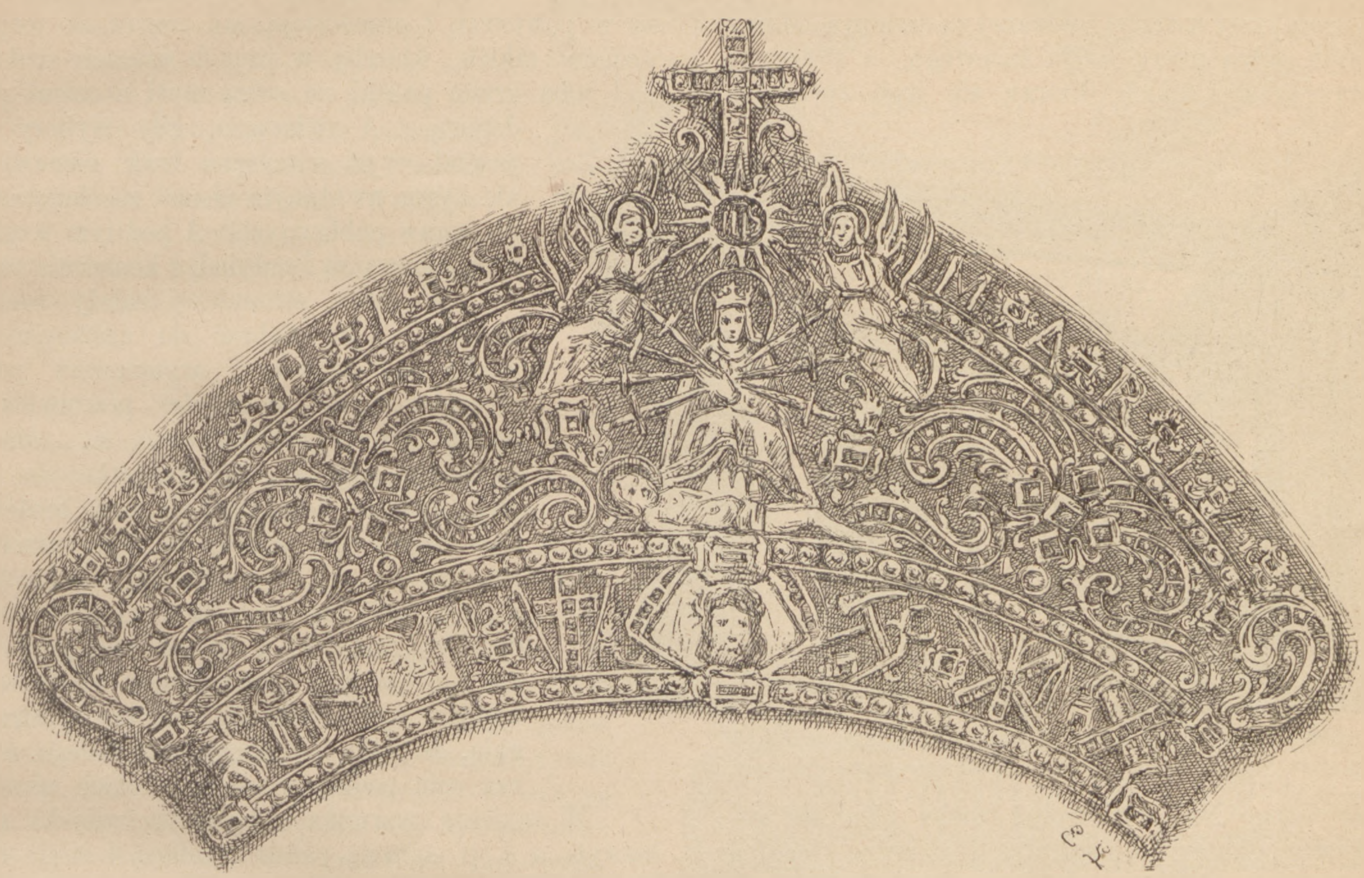
EGZOTYCZNE BUDOWLE.

Najstarszem ze wszystkich jest budownictwo egipskie. Znanym jest powszechnie typ piramid; mniej rozpowszechnione są reprodukcye starożytnych świątyń egipskich. Są one w rzucie poziomym prostokątne, wewnątrz ciemne, długie, przedzielane podworcami i rzędami słupów; przed nimi wznoszą się wysokie mury pilonami zwane, zwężające się ku górze i nakryte płaskimi ciosami z gzymsowanymi okapami. Między pilonami brama główna z podobnym okapem, a po jej bokach posągi. Powierzchnia kolumn bywa gładką, żłóbkowaną, lub jest cała znakami hieroglificznymi pokryta; podobnież ściany od strony podworców. Stropy są z ciosów poziomo ułożonych; sklepień

bowiem używano tylko nad sarkofagami. Przed główną bramą stawiano obeliski. Pałace królewskie miały wiele podobieństwa do świątyń. Domy mieszkalne były małe, z ścianami gładkiemi; ościeże drzwi i okien u dołu szersze niż u góry. W ogólności styl egipski odznacza się ogromnymi rozmiarami, olbrzymiemi posągami w przysionkach i przy bramach, malowaniem licznych figur na ścianach i wysokiem wykształceniem sztuki. Dołączamy rycinę przedsionka świątyni w Phila.

* * *

Część dzisiejszego Meksyku, mianowicie prowincye zwane Cholula i Tlaskala, zamieszkiwał lud Olmeków, który później przez Tolteków został podbity. O ich zabytkach świadczą tylko szczątki budowli wydobywane z gruzów. Ich świątynie zwane *teokali,* były w planie podłużno prostokątne, stawiane z ciosów na najwyższej płaszczyźnie kilkopiętrowego wzniesienia, zajmującego swą podstawą ogromny obszar; z jednego piętra na drugie prowadziły zewnętrzne schody. Rysunek nasz przedstawia jedno takie „teokali" z prowincyi Cholula.



VOTUM WŁADYSŁAWA IV. W CZĘSTOCHOWIE.

Styl Olmeków wykształcili dalej Toltekowie; zabytki ich są stawiane z ciosów, podobnież na piramidalnych piętrowych wzniesieniach. Załączony rysunek przedstawia część ściany zewnętrznej pałacu w Zahi z kolumnami i belkowaniem.

Najwyżej jednak podnieśli architekturę starego Meksyku Aztekowie. Świątynie ich na wysokich i obszernych piętrowych podmurowaniach, oraz ich wieże, były stawiane z ciosów; ściany zewnętrzne pokryte były płaskorzeźbami, przedstawiającemi postacie ludzkie i rozmaite kątowato łamane ozdoby. Rycina przedstawia zachodnią bramę miejską w Tenochtitlan.

* * *

Z pomiędzy indyjskich stylów, najwięcej wykształcił się styl budowli bramińskich. Do najcelniejszych budowli należą pagody wznoszące się przez wiele pięter, coraz węższych, ozdobionych z zewnątrz licznemi płaskorzeźbami. Mniejsze świątynie, jak n. p. przedstawiona na rycinie pagoda w Madurze, mają kształty nieco odmienne. W gmachach pałacowych można widzieć wysokie dwułuczne sklepienia, a zarazem półkoliste ościeże okien w jednej i tej samej budowli.

Pagody Buddystów zajmują obszar stosunkowo wielki w porównaniu do ich kilkupiętrowej wysokości; zewnątrz ozdobione płaskorzeźbami z figur i wnętrzami sklepionemi półkolisto, w których umie-

szczone posągi w postaci siedzącej. Załączamy rysunek świątyni Boro-Buddor na Jawie. Grobowce Buddystów, zwane *dagopami,* są to wysokie kopuły na bardzo niskiem podmurowaniu.

Gałęzią stylu indyjskiego jest sposób budowania Dżainów. Wspaniałe wnętrze świątyni Vimala-Sah w Mont-Abu, wskazuje dobry smak i stanowisko sztuki u Dżainów.

O DAWNEM PODDAŃSTWIE LUDU POLSKIEGO.

Dotykamy kwestyi uważanej za drażliwą. Mamy w kraju pełną miarę ruchu ludowego, a z drugiej strony legiony takich, którzy się tego ruchu po



Przedsionek świątyni w Phila.

prostu boją. Na powierzchni ruchu pieni się gorączkowa agitacya, i naturalna i sztuczna, legalna i bezprawna, uczciwa i złośliwa; w szalonym rozpędzie wiejskiej politykomanii trudno nieraz rozróżnić jednych od drugich, bo w wirze agitacyi mięszają się żywioły i burzą się nawet spokojne duchy. Czem w mniejszym zakresie uprawia się politykę, tem łatwiej... znarowić się i przesiąknąć ujemnemi jej stronami, któremi ona szafuje hojnie: zazdrością, zawiścią, a wreszcie nienawiścią; czem więcej posłuchu znajdują politycy drobni, tem większa łuna nienawiści unosi się nad krajem. Cóż dziwnego, że wśród zażartego boju prowadzonego w tłoku, bo na małej przestrzeni, ludzie dziczeją, bodą potulni, a zuchwali radziby serce wykroić z przeciwnika? Łatwo powstaje epidemia politycznych przywar, podczas gdy na wyrobienie cnót politycznych trzeba koniecznie dłuższego czasu — i na to niema żadnej a żadnej rady. Zarazki przywar są w powietrzu i przedostają się nawet do organizmów takich, któreby w innych czasach zrobiły nad sobą krzyż pański na samą myśl o czemś podobnem. A zwłaszcza, gdy wybory za pasem! czyż natenczas brak nienawiści nie bywa uważanym niemal za obojętność dla spraw publicznych? A pod tym względem jednacy są i radykali i konserwatyści.

W walce stronniczej zależy wielce na tem, żeby nabrać do agitacyjnego worka jak najwięcej argumentów podniecających do nienawiści przeciwnika; trzeba „swoim“ wytłumaczyć, że „tamci“ są godni pogardy, że wszystko złe od nich pochodzi i gdyby nie oni, możeby nam wolno było wrócić do raju; przedewszystkiem zaś wywodzi się, że każden z „tamtych“ jest osobistym wrogiem każdego z „naszych“ i czycha na jego mienie i dobre imię przynajmniej aż do wyborów. Krótkowidzący ani się spostrzegają, że dążą do osiągnięcia małego nieraz celu podkopywaniem wielkich spraw!

W takichto warunkach agitacya wiejska zahaczyła o ś. p. sprawę pańszczyźnianą i snuje sobie z niej argumenty polityczne. Do szerzenia waśni społecznej argument udatny, a tem udatniejszy, że nikt nie wie, jakto było na prawdę. Nasi uczeni i publicyści niewiele badali te sprawy, więc też niewiele o nich pisali; wyręczali ich Niemcy i Moskale, a ich sposób przedstawienia tej rzeczy spopularyzował się w Polsce. Ci, którzy najwięcej krzyczą o dawnych chłopskich krzywdach, wiedzą o nich najmniej i ani jeden z nich nie zdołałby dać ścisłej odpowiedzi na jakiekolwiek pytanie w tej mierze. Alež w tem właśnie tkwi niebezpieczeństwo, że mówi się o tem ogólnikami i frazesami; w naiwnych umysłach (czyto chłopów, czy szlachty) przybiera rzecz fantastyczne kształty i rozmiary właśnie skutkiem braku ścisłości. Wśród szlachty galicyjskiej jest setki takich, którzy uważają za święty obywatelski obowiązek, żeby o tych sprawach milczeć

i nie odchylać rąbka z przeszłości stosunku wieśniaka do pana; są bowiem przekonani, że gdy prawda wyjdzie na wierzch, okażą się straszne straszliwości. Boją się, że wtedy przepaść między dworem a chatą do reszty już się roztąpi. I dlategoto kwestya dawnego poddaństwa ludu polskiego uchodzi za drażliwą.

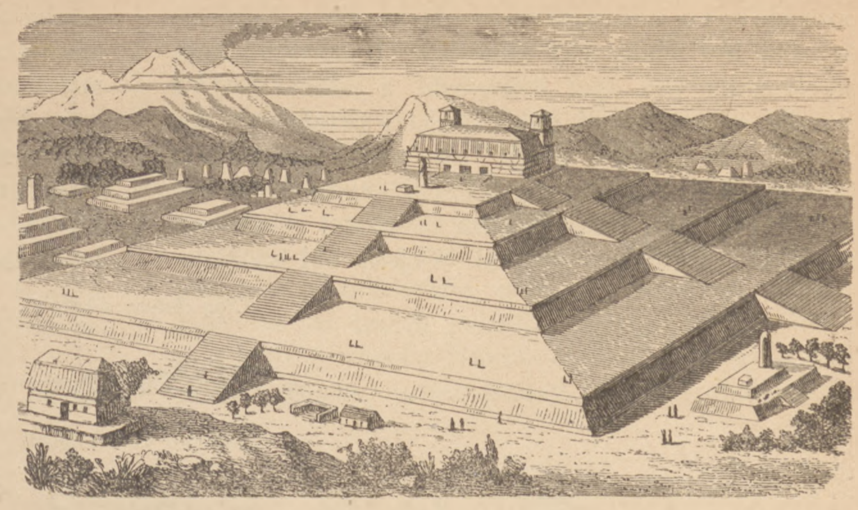
Naszem zdaniem tem bardziej trzeba badać każdą kwestyę, im ona jest drażliwszą. Zresztą w tym wypadku wiedzą przecież wszyscy, że poddaństwo ludu istniało rzeczywiście, a pańszczyzna ma nawet jeszcze tradycyę; czegóż się więc bawić w robienie sekretów z rzeczy powszechnie znanych. Lepiej postarajmy się, żeby wiedziano powszechnie, jakiem też było to poddaństwo, na czem polegało, dlaczego ono było, w jakim celu i wśród jakich istniało warunków. Wejdźmy śmiało w rozbiór kwestyi, a ona może właśnie skutkiem tego straci żądło i przestanie być palącą.

* * *

Olbrzymia większość intelligencyi, tudzież wszystkie oświecone jednostki z ludu, przedstawiają sobie naiwnie, że od samego początku historyi polskiej, od Popiela, istniał stan włościański taki, jak dziś, zamieszkujący wioski i trudniący się rolnictwem; mniemają też, że ten stan był, jak dziś, najliczniejszym, słowem: podstawą społeczeństwa. Otóż nic błędniejszego. Ani dzisiejszych wiosek, ani dzisiejszych chłopów za Popiela nie było i być nie mogło: rolnictwo bowiem długo jeszcze potem było zgoła tylko wyjątkiem. Nie mąką żywili się ludzie, lecz mięsem, a mianowicie zwierzyną i rybą, której było w bród; nie rola żywiła ludzi, ale las i woda. Tak było wszędzie pierwotnie, i Polska nie stanowiła wyjątku. Wielkopolanie, mając wszędzie pełno jezior i stawów, nie bali się głodu, a suszona ryba stanowiła zapasy żywności, podobnie jak dzisiaj zboże w spichlerzu. Małopolanie siedzieli wśród rozległych borów, pełnych zwierza, którego nikt nie ochraniał i nikt polować nie bronił: toteż mieli wikt lepszy, niż dzisiaj — o ile go sobie upolowali [1]).

Prymitywny ten sposób utrzymywania życia, żeby pokarm czerpać sobie bezpośrednio z przyrody, a zdobywać go własnym przemysłem, przechował się w znacznej stosunkowo części ludności jeszcze do XIII. wieku.

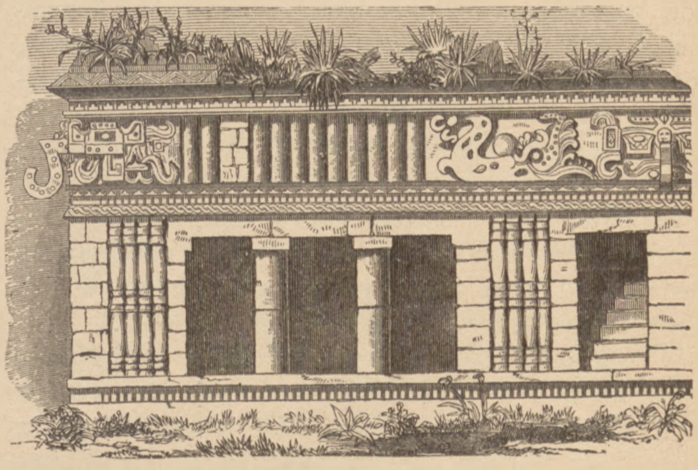
Byli w Polsce rolnicy od najwcześniejszego zarania dziejów; to nie ulega najmniejszej wątpliwości, ale nieliczną tylko tworzyli warstwę. Skąd wziąć było ornej gleby? Czy siać było na wielkopolskich jeziorach i bagnach, czy w małopolskich



Teokali w Cholula.

puszczach? Przeszły wieki, zanim bagna się osuszyły i nim lasy wykarczowano, a raczej wypalono; wtenczas dopiero znaczniejsza część ludności mogła się poświęcić rolnictwu.

Wielkim protektorem rolniczego zawodu był Kościół, który prowadził istną agitacyę za tem zajęciem, tak cywilizacyjnem. Wiadomo, że postępowe rolnictwo było w swoim czasie specyalnością Cy-



Część ściany zewnętrznej pałacu w Zahi.

stersów; u nich były wzorowe gospodarstwa, oni też najwięcej karczowali lasów. Powiększając swą zawodową wiedzą wydatność gleby, zwiększali tem samem korzyści płynące z rolnictwa, czyli poprostu: czynili ten zawód intratniejszym, co najlepiej ludzi do niego zachęcało. Niejeden wolał zostać rolnikiem, niż borykać się ciągle z przygodami łowów. Równocześnie prawo książęce poczęło ograniczać swobodę

[1]) Pamiętać jednak trzeba, że tego mięsiwa nie umiano należycie przyrządzać.

polowania, zdaje się, że pod wpływem Kościoła, który pragnął zwrócić ludność na tory rolnicze.

Rolnikiem jednak mógł zostać tylko ten, kto posiadał ziemię. Stajemy wobec zasadniczego pytania: czy każdy ją posiadał, a przynajmniej mógł posiadać? To zaś zagadnienie łączy się z drugiem: czy lud był wolny czy niewolny? Rozmaite panują przekonania pod tym względem, a jakie fałszywe panują pojęcia wśród publiczności i przedostają się do ludu, zobaczymy niżej. Na razie stwierdźmy, że sama kwestya jest niestosownie ujęta i przez to daje powód do wielu bałamuctw nawet w świecie uczonym. Pytanie, czy lud wiejski był za Bolesławów wolny czy niewolny, wychodzi na to, że sami nie wiemy dobrze, o co się pytamy; bo kogóżto mamy w owych czasach rozumieć przez wyrażenie: „lud wiejski“, w ówczesnych stosunkach społecznych nie podobnych w niczem do dzisiejszych? Ażeby otrzymać jasną odpowiedź, należy pytanie sformułować inaczej, a mianowicie: Czy wszyscy mieszkańcy piastowskiego państwa byli wolni?

Nie wszyscy; mieszkało w Polsce bardzo wielu niewolników, ale oni nie należeli do krajowców. Krajowcy bowiem byli stanowczo wszyscy wolni. Owi obcokrajowcy a niewolnicy, byli to jeńcy wojenni lub jeńców potomkowie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

RZESZÓW.

Podróżny, któryby w dzisiejszym Rzeszowie chciał z układu placów i ulic wnosić o stosunkach przeszłości, o patrycyacie mieszczańskim i samorządzie, zawiódłby się wielce. Dawna część, zamieszkała przez żydów ograniczonych do kilku uliczek, w ciągu niespełna jednego stulecia zagarnęła rynek, stworzyła nowe place, i resztę w posiadanie objęła ulic. Tylko nowo zabudowana, w pobliżu kościołów zachowanych z przeszłości z ozdobnemi kamieniami, Ulica 3 Maja, doprowadzająca do zamku, zamieszkała przez chrześcijan, stanowi dziś dzielnicę polską w żydowskiem mieście. Próżno też dzisiaj szukać w mieście starożytnych kamienic: budynku ratuszowego, reszt murów miasta i tego wszystkiego, co o społeczeństwie dawniejszem miejskiem, jego zamiłowaniu do sztuki przynosiłoby świadectwo takie, jakie przynoszą one nieraz w osadach mniej, niż Rzeszów wielkich.

Miasto rozciąga się przeważnie od wschodu ku zachodowi, i w tym kierunku biegła stara droga z Krakowa ku Rusi, która dziś przechodzi przez plac jeden i drugi obudowany domami jednopiętrowymi, skleconymi niedbale, o dachach gątowych. Jeden z placów dość obszerny, prostokątny, jest rynkiem o terenie nierównym, wichrowatym. W głębi jako piętrowa kamienica tak zwany dzisiaj magistrat, obok którego biegną ulice ku kościołom, to z prawej strony dążą obok fary za miasto ku Bernardynom, a z lewej spotykają się z wspomnianą dzielnicą chrześcian, która zaprowadzi do zamku, za miastem położonego. Brudne ulice poprzeczne doprowadzają od południa ku rzece Wisłokowi — od północy do stacyi kolejowej. Ale jeżeli życia mieszczańskiego nie pozostało śladów, nie obwiniajmy teraźniejszości, gdyż jego tu nigdy nie było, rodów mieszczańskich nie szukać tam, gdzie panowanie swe zaznaczyli dziedzice miasta, wielkie szlacheckie rody i bogate instytucye zakonne. Jakoż dziś jeszcze tego panowania w stosunkach miejscowych szlachty i duchowieństwa wymowne są dowody w budowlach zachowanych i pomnikach. Przedewszystkiem trzy kościoły: farny, Bernardyński i Popijarski, dwa ostatnie klasztorne, mają przy sobie budynki; kapucyńskie zabudowania zmieniły swe przeznaczenie. Majestat rodu Lubomirskich, co po Rzeszowskich i Ligęzach byli panami miasta, dotąd widny w zachowanej, wspaniałej budowie obronnego zamku, w pałacyku rokokowym, zwanym niesłusznie teatrem i w resztkach parku na wyspie Wisłoku.

Rzeszów był dziedzictwem domu Rzeszowskich aż do końca XVI. wieku. Miał być danym przez Kazimierza W. wraz z obszernym okręgiem Stanisławowi ze Stróżysk herbu Doliwa za zasługi wojenne. Tak za Paprockim powtarza Niesiecki, ale raczej wierzyć przywilejowi Kazimierza W. z daty 19 stycznia 1354, obdarzającemu Jana Pakosława dziedzica Stróżyszcz dobrami Rischov. Tenże król obdarzył miasto prawem magdeburskiem i ściągał doń kolonistów Niemców. Po Rzeszowskich, bo tak się pisali potomkowie Jana ze Stróżysk, przeszedł Rzeszów do Ligęzów, a od nich do Lubomirskich, linii, która się pisała rzeszowską; szczególniejszym dobrodziejem miasta

i kościołów byli Mikołaj z Bobrka Ligęza i jego córka Pudentiana. Pierwszy wyrestaurował farę po pożarze w r. 1621, obdarzył funduszami szpital św. Ducha i fundował klasztor Bernardynów, druga założyła klasztor Klarysek, który w r. 1658 Jerzy Sebastyan Lubomirski oddał Pijarom i szkoły zaprowadził.

Doznawało miasto napadów tatarskich, niszczone było często pożarami, stąd Jagiellończycy obdarzali je przywilejami licznemi.

W pobliżu dzisiejszego Rzeszowa leży wieś Sare miasto z kościołem parafialnym. Nazwa ta wskazywałaby na przeniesienie osady w nieoznaczonym ściśle czasie na dzisiejsze miejsce. Kościół wybudował z gruntu ks. Pękoszewski proboszcz, w r. 1686.

Najstarszym zabytkiem Rzeszowa jest bezzaprzeczenie jego kościół parafialny pod wezwaniem śś. Stanisława i Wojciecha; jest w murach gotyckim ceglano-kamiennym. Zewnątrz przedstawia się dość okazale, pozostały ślady gotycyzmu w szkarpach prezbiteryum trzema ścianami ośmiokąta od wschodu zamkniętego, w poutrącanych kamiennych kapnikach i gzymsie cokułowym. Budowa cała niegdyś w surowej cegle, jest dziś otynkowaną, bez śladów stylowych; facyata gładka o frontonie giętym barokowo. Obok kościoła stoi odosobniona czworokątna dzwonnica boniowana po węgłach, z oknami półkolem zwartemi górą. Wiek XVIII. przerobił po swojemu wnętrze. Dawne sklepienie gwiaździsto żebrowane, gotyckie, pozostało w presbiteryum w trzech polach. Jedyny interes budzą pomniki grobowe Rzeszowskich, dawnych dziedziców miasta, przez pożary znacznie uszkodzone.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NOWE PRZYGODY TWARDOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Na Miedzianym Wirchu, po Nowym Roku 1897.

Czytającym pozdrowienie. Nic stąd nie widać, tylko dookoła skały, wszędzie widok na to, co widok kraju zasłania; właśnie dlatego tu siedzę, żeby swym bystrym wzrokiem, zaostrzonym w przestworzu, gdym wisiał między niebem a ziemią, nie dowidzieć owych linij wewnątrz Polski, które zaczynają już na was działać i wpływać „historycznie“, choć nie są historycznemi liniami ni ziem, ni województw. Sto lat borykali się, pasowali z losem, bili się, jak lwy, ofiarowali dziesięcinę z każdego pokolenia, robili chętnie i dużo, — ale po jakiemu? Po jakiemu oni szafowali krwią i mieniem swojem, skoro przez sto lat nie zdołali z trzech zaborów zrobić dwóch? Hojny był szafunek, ale co za nieporządek w nim! — Nie chcę tego mieć przed oczyma, bo mam złość na politykę. Podobno u was nie czyta się niczego, co nie pachnie z daleka polityką i to taką, której pierwszym warunkiem nienawidzieć z całej duszy, z całego serca i ze wszystkich sił swoich bliźniego swego, który ma odmienne zapatrywania; podobno tylko tak pisząc, można liczyć na czytelników, którzy to zowią „aktualnością“ i „ożywieniem pisma“. Ha, w takim razie nie przysporzę ich, bo tak pisać nie potrafię. Czwarty wiek żyjąc, poznałem, do czego przywiązywać wagę, a co za błahostkę uważać; nie złapie mnie nikt na to, że tam gdzieś ludzie pokłócą się o sprawy, po których jutro nie będzie najmniejszego śladu. Prawdziwa aktualność polega na ciągłości wielkich zamysłów, tudzież na tem wszystkiem, co jest zasadniczego w każdym z nas, jako w człowieku i jako w obywatelu. Najaktualniejszem też jest nie to, do jakiego należysz stronnictwa, ale czyś uczciwy człowiek, czy masz dobrą wolę? Na Bożym sądzie nikt cię nawet nie zapyta o twoje hasło stronnicze, tylko usłyszysz w ogólnej formie gromkie pytanie: czyś w życiu publicznem nie kłamał i czyś nie uważał za przesąd, żeby radzić się katechizmu nietylko w domu, ale też na forum?

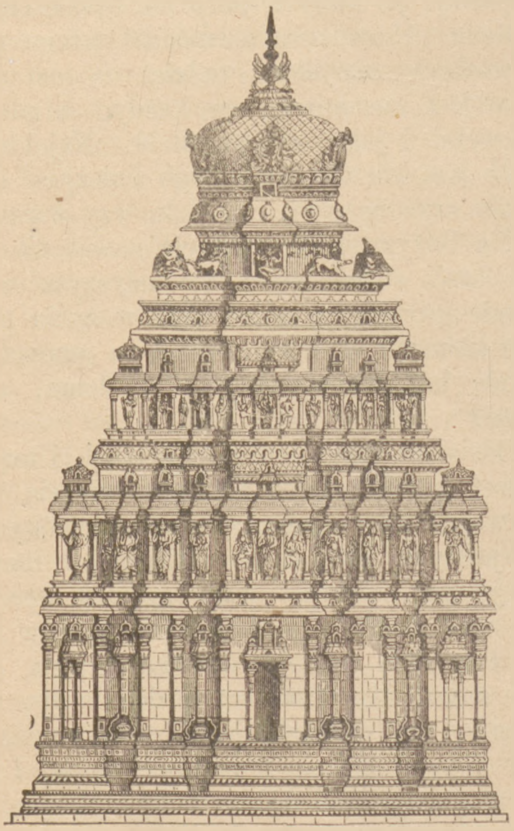
Widziałem dosyć polityk i głupich i mądrych; ale nawet najmędrsze z nich stawały się głupie, ilekroć wchodziły w drogę sprawom niepolitycznym. A dziś polityka włazi u was klinem w literaturę, w umiejętność, zakłóca wam godziny spoczynku i truje wam zabawę; jeszcze kilka kroków na tej drodze mięszania polityki do wszystkiego, a młodzieniec zapraszając dziewczynę do pląsów, zapyta jej wpierw, czy podziela jego zapatrywania polityczne? Wyzuwacie się z natury ludzkiej i rozum tracicie stopniowo, nie widząc koło siebie nic, tylko politykę; a ona przecież nie jest w życiu regułą, lecz wyjątkiem, którego używać trzeba, ale tak, żeby niczemu a niczemu innemu nie przeszkadzała.

Ani jeden Święty nie był dotąd kanonizowany



Brama miejska w Tenochtitlan.

za wyznawanie jakichkolwiek politycznych poglądów, chociażby najlepszych. Na ziemi zaś do naj-



Pagoda w Madurze.

smutniejszych należały te czasy, w których ludzie najbardziej ugrzęźli w polityce; wtenczas to brat zarzynał brata, a narody zamieniały się na stada. Oddać się całkiem i wyłącznie polityce, bywa u słabszych najkrótszą drogą do tego, żeby zapomnieć o wszystkich obowiązkach względem Boga, rodziny, bliźniego i siebie samego. I to ma być pracą dla powszechnego dobra, które składa się właśnie przedewszystkiem z tego, co jest poza polityką, bo ze spraw rodziny i towarzystwa ludzkiego wogóle!

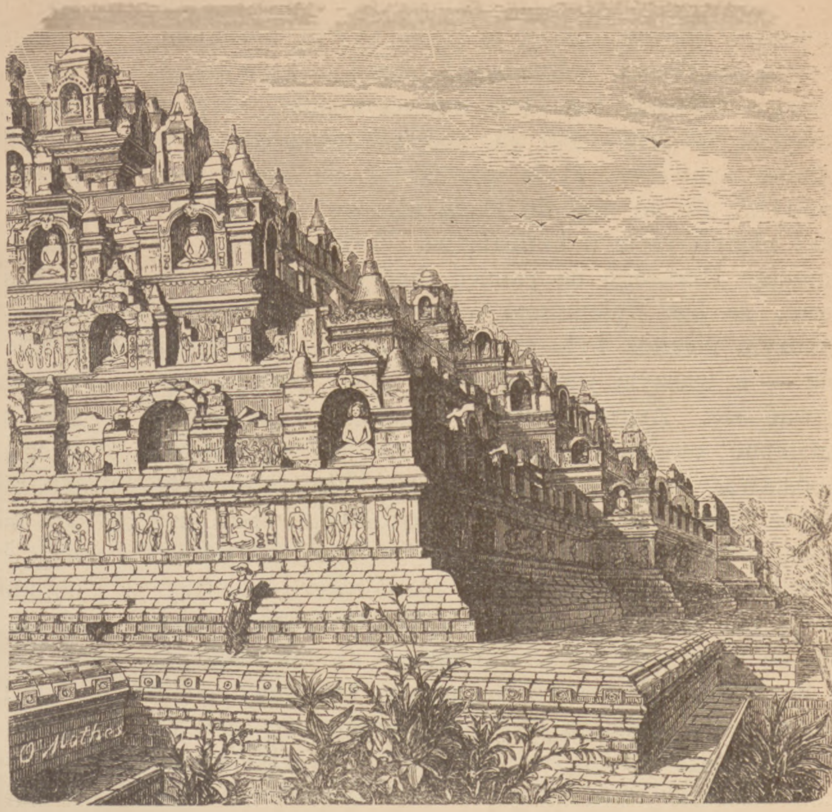
Politykomania ostruguje człowiekowi głowę, która staje się coraz mniejszą, aż się zamienić może na ptasią; i wtenczas nic, tylko: ćwirk, ćwirk, ćwirk — wiecznie na tę samą nutę; przy ołtarzu: ćwirk i przy biesiadzie: ćwirk; do papieża przemawia się: ćwirk, na proboszcza woła się: ćwirk; podwładnym w urzędzie przykazuje się, że trzeba się wyuczyć: ćwirk; tem melodyjnem hasłem wita się nawet gościa w domu. Wśród ptasich główek jak tu żyć? Trzeba być albo psem, albo kotem; szczerzeniem zębów i głośnem warczeniem uprasza się ptactwo, żeby sobie odfrunęło choć na chwilkę, albo też kocim instynktem robi się sobie z nich potrawę. Toteż, czem większe przejęcie się polityką, tem lepsze czasy dla kocich natur; tyją wyśmienicie.

Za Zygmuntowskich czasów było polityki sporo, a że lepsza od waszej, toć rzecz oczywista; mieliśmy i tradycyę i wprawę i środki. Aleśmy pamiętali, że nie na tem polega życie! Nie klęliśmy brata, gdy mu los dał inne zdanie od naszego, w politycznym przeciwniku miewało się nieraz osobistego przyjaciela i nie lało się polityki do puharów węgrzyna. Sala sejmowa czy sejmikowa, narada obywatelska, zwołana osobno w tym celu, były od polityki i wtedy panowała sobie ona samowładnie; a gdy się zwarły przeciwne obozy, szło na ostro, bośmy nie lubili kompromisów, każdy się starał postawić na swojem i nie ustąpił, póki nie użył wszystkich sposobów. Umieliśmy przeciwników zmylić, wywieść w pole, zbić z tropu, zaskoczyć ich, a wreszcie nawet (bywało! krew, nie woda), pogrozić sobie wzajemnie; wrzało, jak w ulu, a chrzęszczało, jak na bitwę, w takiej politycznej godzinie. Ale gdy godzina minęła, my ludźmi bywaliśmy i dobywały nam się z piersi zwyczajne ludzkie głosy, a nie jakieś „aktualne“ „ćwirk“! Chcieliśmy i umieli oddechać całą piersią, a nie samemi tylko nozdrzami; każdy z nas czuł, że tłem życia musi być coś większego: Kościół, dom, rodzina, wiedza, poezya i sztuka. Tym to czynnikom oddawaliśmy nasze serca, tam się kształciły nasze uczucia i buchały namiętności, a nie w polityce, na którą wy-

starczało dać cząstkę mózgu i było lepiej i z temi z owem.

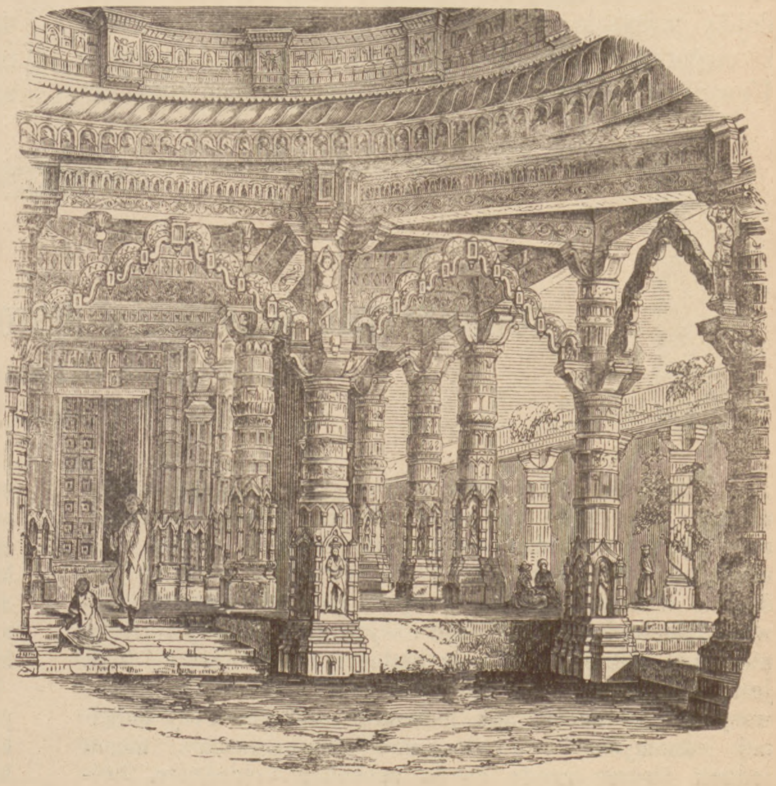
Kto z was, o ostrugani, jest dzisiaj zupełnym człowiekiem? Kto z was powie: Nil humanum a me alienum puto? Kto za główną troskę życia uważa, żeby każde drgnienie serca zastosowane było do godności człowieczeństwa, a nie do wymagań chwili?

Wyście politycznemi narowami pozarażali wszystkie objawy życia, nawet do sztuki przeszczepiliście grzyba „aktualności“. Ta wasza „aktualność“, to nie siły znak, ale zgrzybiałości, zdziecinnienia; wyglądacie czasami jak dzieci, które chcą śnieg suszyć, żeby go sobie zachować i dąsają się, gdy im w ręku taje. I gdy zacznie się czoło pruszyć siwizną, co z takiego życia pozostanie? Haha! złożone ze samych „aktualności“ wobec pochodu pokoleń warte ono w sam raz płatka śniegu. Zapewne, nie każdemu dano zaciążyć na dziejowej kolei spraw publicznych, chociażby jednym łutem; ale każdy powinien przecież sam sobą stanowić okres w pochodzie pokoleń swego rodu: A czy wy dziś umiecie wytwarzać tradycye rodzinne? Stare się gubią, nowe nie powstają — a życie publiczne zamieni się w jedne wielkie łowy psów i kotów, gdy zabraknie głębszych podstaw życia prywatnego.



Świątynia Boro-Buddor na Jawie.

Życie rodzinne schroniło się do kuchni; tyle męża w domu, o ile pobyt na łonie rodziny dostarczy mu pożywienia lepszego i tańszego, niż publiczna jadalnia. Tylko jeść w domu jeszcze potrafi, ale czuć i myśleć już nie zdoła, bo do tego trzeba mu koniecznie bodźca z zewnątrz od jakiejś „kwestyi“. Wysycha najbogatsze ze źródeł energii statysty i natchnienia poety, najobfitsza kopalnia cnót męskich. Równocześnie literatura zarzeka się, jakoby sama sobie miała wystarczać i nadyma się pychą, gdy się w niej coś wysztukuje na podpórkę polityki; zarazem sztuka ucieka się do sztuczek, żeby się nie powstydzić przed siostrzycą i wzywa wszystkich na świadectwo, że i ona aktualna, że i ona umie piszczeć „ćwirk“. Religia? za drobne wasze serca, żeby się zanurzały w tym bezmiarze, zatonęłyby tam odrazu; nie z nadmiaru też rozumu, ale z braku serca radzibyście zrobić z plebana urzędnika od liturgii, a z papieża wielkiego mistrza ceremonii kalendarzowych. Nauka? Ależ doszliście już do tego, że temu tylko udzielicie patentu na uczonego, kto złoży niezbite dowody, że poza swą specyalnością jest zresztą kompletnym ignorantem na każdem innem polu. I tak w każdej a każdej dziedzinie



Świątynia w Mont-Abu.

jest cechą końca tego wieku: umysłowa ciasnota i pustka serc. — Wyjałowienie!

Przydałoby się wam trochę krwi z Zygmuntowskich czasów, kiedy to poeci bywali uczonymi, uczeni statystami, żołnierze literatami, a za wykształconego uchodził ten, kto ani na wojnie, ni przy księdze, ni przy lutni nie popełnił głupstwa. I to ogólne znawstwo życia przenosiło się dopiero do polityki, ale od niej do życia niczego. Ale wy dzisiaj złożylibyście z hetmaństwa Żółkiewskiego, bo umiejąc Horacego na pamięć, byłby wam podejrzanym, że jest dyletantem w zawodzie wojskowym. Naszym ideałem było przybierać ducha, zaokrąglać się — a waszym jest: ujmować sobie treści, ostrugiwać się. Zygmuntowskie pokolenie i najbliższe następne osadzało charaktery na jak najszerszej podstawie, toteż pacholęta nasze były pewniejsze siebie wobec pokus życia i zawieruch świata, niż wasi dojrzali mężowie, którzy wywracają się co chwila, za lada podmuchem; równowagę zaś utrzymują nie przez to, żeby stali, jak mur, lecz przez to, że wirują ustawicznie wraz ze swemi zasadami i uczuciami. My szerokie mosty kładliśmy sobie przez życie, budując je z *omne humanum;* wy na jednej nodze skakać musicie poprzez wązkie kładki „aktualności“ i „specyalności“, z których niedługo każecie zdawać egzamina mamkom waszych dzieci, żeby się zawczasu napoiły ideałem ciasnoty. Cała nadzieja w tem, że dzieci wasze, ostrugane już dokładnie ze wszystkiego, co za niepotrzebne uważacie, a co dawniej o godności ludzkiej stanowiło, dojdą wreszcie do tego, że życie będzie im nudą i ciężarem; wtenczas nastanie wielka reakcya: Uczeni zaczną patrzeć na rzeźby i słuchać muzyki, poeci zaczną się uczyć poważnie, żołnierze będą deklamować ich pieśni, rodzina stanie się kamieniem węgielnym życia, a polityka jego dodatkiem, przyjmowanym z konieczności. Wtenczas zrozumieją, jak nietylko piękne, lecz mądre zarazem, były moje pierwsze czasy, czasy renesansu, ów polski wiek złoty. Harmonia umysłu wykształconego na wielką skalę i głębia charakteru opartego na najszerszej podstawie rozumu i serca, nie pozwolą też natenczas, żeby ze spraw przygodnych robić sobie zacietrzewienie całego życia. Dziś zdarza się to nawet rozumniejszym; czegóż się tedy dziwić, że głupsi, gdy znajdą gdzieś na drodze porzucony włosień z ogona polityki, wsiadają na niego i wierzą święcie, że na wielkim koniu jeżdżą? Nie, w polityce nie tak łatwo siąść na rosłego rumaka! Zamiast tedy harcować całe życie na kucyku i męczyć się obijaniem nóg o kamienie na drodze, czyż nie lepiej... patrzeć na rzeźby i słuchać muzyki? Najpierw i przedewszystkiem próbujcie być — ludźmi!

Doprawdy, zwłaszcza ci, którzy siedzą pod rządem rakuskim, pod berłem monarchy, którego mógłby im pozazdrościć każdy wolny naród, oni, przeznaczeni przez Opatrzność na plemię narodu, mogliby też używać rozumniej swego szczęścia i gdy im dano prowadzić naprawdę politykę, nie ostrugiwać i tego nawet na 74 polityczek powiatowych, z których każda ma swego... rycerza na kucyku lub na chłopskiej szkapie; te do boju niezdatne rodzaje koników ciągną zawsze do najbliższego żłobu, nie zatrzymując się ani przed figurą, ani przed żebrakiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW HISTORYI I ZABYTKÓW KRAKOWA.

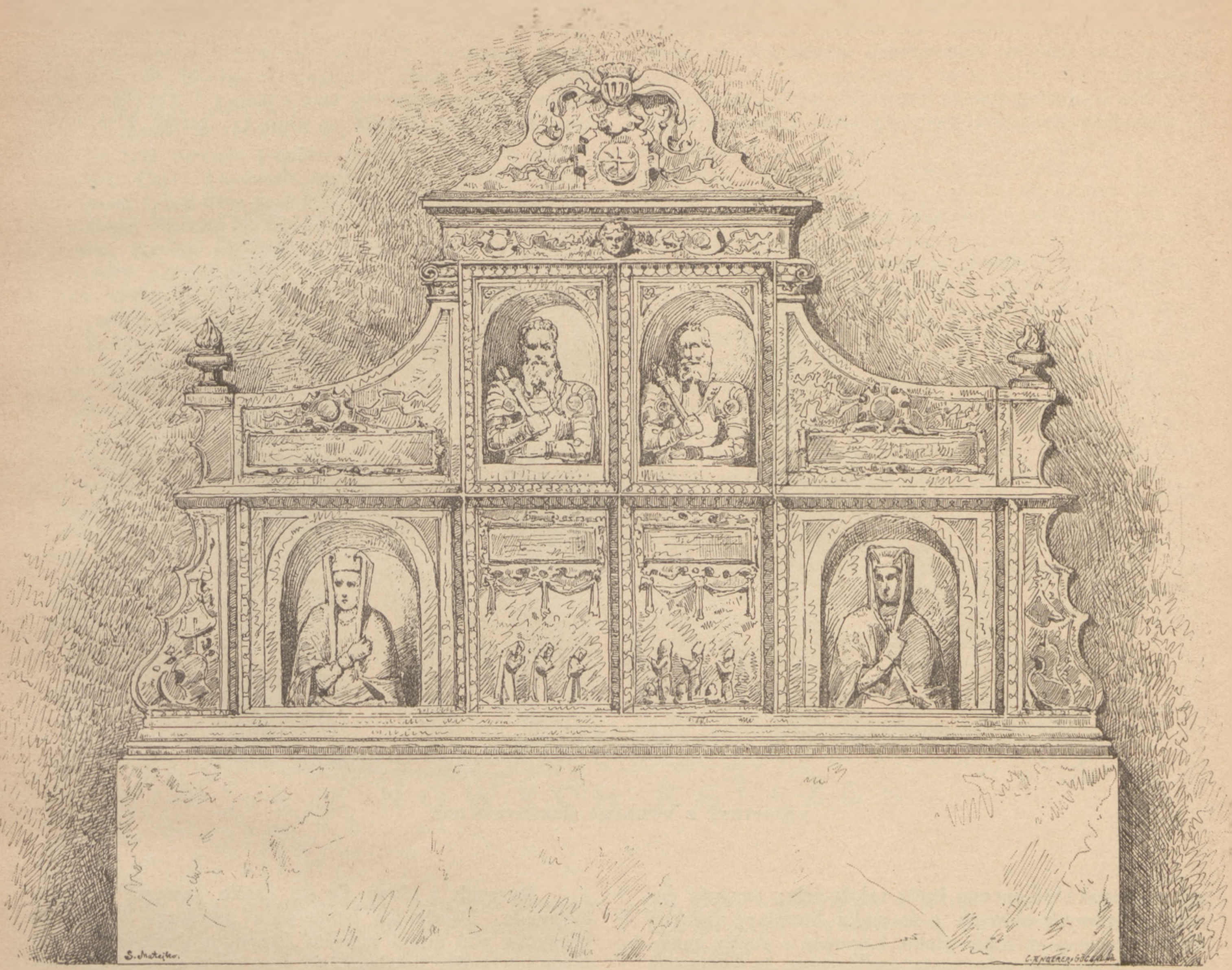
(GŁOS WOLNY REDAKCYI „ŚWIATŁA“).

Założono w Krakowie stowarzyszenie najsympatyczniejsze, jakie tylko być może. Należycie poprowadzone, mogłoby ono rozbudzić wśród mieszczaństwa — słabe dziś, niestety — przywiązanie do gniazda, a przez to pośrednio wzmóc nieistniejące zgoła poczucie stanowe, pewnego ducha korporacyjnego i wytworzyć choćby iskierkę nieznanej całkiem w Polsce: ambicyi mieszczańskiej! Tak jest, zamiłowanie do zabytków przeszłości może wydać wszystkie te owoce. Jak jednak je szerzyć? Przy zupełnej jednomyślności co do celów stowarzyszenia, niema jednak jeszcze zgody co do sposobów i środków, których ma użyć; toczy się właśnie dyskusya w tej mierze. Redakcya „Światła“ uważa sobie za miły obowiązek zabrać w niej głos; czyni to zaś publicznie dlatego, ponieważ pragnie gorąco, ażeby dobry przykład Krakowa oddziałał nietylko na Lwów, ale na wszystkie miasta prowincyonalne. Posiadamy zaś do głosu dwie kompetencye; najpierw, że Redakcya jest „dzieckiem Krakowa“, które co do przywiązania do królewskiego grodu niema nad siebie gorliwszego, a pragnie mieć legiony równych, a powtóre, z powodu kuzynostwa Redakcyi z naukami historycznemi.

Pierwszym celem Stowarzyszenia musi być, ażeby powiększyć ilość miłośników przeszłości i zabytków Krakowa. Ci, którzy nimi już są, mogliby może od biedy utrzymać pismo specyalne, poświęcone tym zabytkom, które byłoby czytywane przez nich samych i przez nieliczne osoby poza Krakowem; ostatecznie stačby ich na to było, żeby do takiego pisma dopłacać. To jednakże nie wystarcza, a może niepotrzebne. Pracę bowiem histo-

ryczną, z jakiegokolwiek zakresu przeszłości, pomieści Akademia Umiejętności, czy to w rozprawach, czy to w rozmaitych wydawnictwach źródeł dziejowych, czy też w owych wspaniałych Sprawozdaniach Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce, (które zna cała Europa, choć ich nie zna Galicya). To grono miłośników Krakowa już istniejące, składa się w znacznej większości z uczonych, którzy potrafią sobie radzić i na rzeczy już się znają — ale żadnej akcyi na większą skalę i tak nie przeprowadzą, bo ich za mało!

W jaki sposób przysporzyć im towarzyszów z pośród mieszczaństwa? Trzebaby tedy przekonać szerokie



POMNIK RZESZOWSKICH W FARZE.

warstwy, że te zabytki są rzeczywiście ciekawe. Nie dokaże tego specyalne pismo naukowe, które będzie dla nich za ciężkie i nudne; zrazić ich jeszcze może! Proponujemy broszurki tanie, popularne, illustrowane, z których żadna nie kosztowałaby więcej, jak 15 ct. Celem ich: popularyzowanie tego, co już uczonym wiadome. Pierwszym bowiem warunkiem łączności uczonych z publicznością jest, żeby nietylko sami uczeni wiedzieli wzajemnie o swoich odkryciach naukowych, ale żeby też szersze kręgi przypuszczać do tajemnicy. Tematy broszurek: Historya ważniejszych kościołów, Katedry, N. M. Panny, św. Floryana itd.; celniejszych gmachów: Szarej kamienicy, Krzyżtoforów itp. Każda ulica krakowska tematu dostarczy! Co miesiąc powinna wyjść jedna broszurka, co wcale nie trudno wobec tego, że możnaby natychmiast przystąpić do wydania kilku, na tematy uczonym już z dawien znane, wymagające po większej części tylko przedruku z nieznacznemi zmianami; na jakie dziesięć takich broszurek tekst jest prawie zupełnie przygotowany w dawniejszych publikacyach. Akcya tedy na rok pierwszy nie sprawiałaby wiele kłopotu. Towarzystwo wystarałoby się o prawo kolporterki i korzystałoby z tego ułatwienia na wielką skalę, wciskając te broszurki we wszystkie warstwy ludności. Wtenczas do-

piero będą w Krakowie tysiące „miłośników“, gdy Krakowianin przechodząc ulicą, będzie wiedzieć, koło czego przechodzi. Pozwalamy sobie zwrócić uwagę na fakt, że tematy historyczne interesują właśnie niezmiernie szerszą publiczność.

Członkowie stowarzyszenia otrzymaliby te broszurki bezpłatnie. Dobrze byłoby, żeby wkładka roczna była niższa, niż łączna cena broszurek z jednego roku, a więc mniej więcej jeden złr. rocznie. Jeżeli jednak nie dałoby się przeprowadzić wkładki tak niskiej, trzebaby członkom wynagrodzić w inny sposób dopłacanie do ceny broszurek.

Nie wystarczą jednak broszurki, ażeby zaciekawić do pomników Krakowa; trzeba agitować żywem słowem, a więc odczyty, z bezpłatnym oczywiście wstępem dla członków, a dla niecz1onków opłata jak najmniejsza, nie więcej niż 10 ct., ażeby każdy na nie mógł uczęszczać. Odczyt powinien obejmować jeden temat, ale kilku prelegentów, z których żadnemu nie byłoby wolno mówić dłużej, jak kwadrans. (Odczyt złożony z kilku prelekcyj, może trwać nawet półtorej godziny, a nie znuży). Np. odczyt o pałacu na Woli Justowskiej, w sześciu częściach: Część pierwsza o tem, dlaczego wieś nazywa się „wola“, wyjaśni krótko a węzłowato, w jaki sposób urządzano wówczas osadnictwo, a zakończy datą założenia tej wioski; druga: nawiązując do tej daty, scharakteryzuje ówczesny stan Polski i powie coś o dworze królewskim; trzecia wytłómaczy, czemu wieś zowie



FRAGMENT Z POMNIKA RZESZOWSKICH.

się „justowska“ i opowie życie założyciela; czwarta pouczy w jędrnych słowach o stosunku literatury polskiej do powszechnej w XVI. wieku i opowie o ruchu humanitycznym w Krakowie; piąta wytłómaczy, że humanizm w literaturze, to w architekturze renesans; szósta wreszcie opowie historyę powstania gmachu i wyjaśni znamienne jego cechy. Ilość prelegentów byłaby sprawą przygodną, chodziło nam tylko o podanie przykładu na rozkład odczytu. Wawel mógłby dostarczyć tematu na trzy odczyty przynajmniej. A co za ciekawe odczyty mogłyby być o Towarzystwie Strzeleckiem, o łobzowskim pałacu, o „księdze Twardowskiego“ w Bibliotece Jagiellońskiej, o ulicy Szewskiej, niegdyś „świeckiej“ itp.; albo np. historya zmian koryta Rudawy w obrębie miasta. Ależ tu tematów starczy na lat kilkadziesiąt, a z każdego odczytu — broszurka.

Nawet odczyty powinny być illustrowane; kupić aparat, zrobić ekran i rzucać nań projekcye w wielkim formacie, widzialne dokładnie z daleka nawet dla krótkowidzących.

Rysunek i ekran da się często zastąpić autopsyą oryginału. Należy też letnią porą przystąpić śmiało do odczytów pod gołem niebem! Bezpłatni słuchacze, w połowic przygodni, dowiedzą się przy tej sposobności i przekonają na praktycznym przykładzie, czem jest Towarzystwo, niejeden się zapisze, a przynajmniej jeden stanie się dobrowolnym jego agitatorem, przysparzającym członków. Po kilku latach będzie uważanem za wstyd, żeby mieszczanin krakowski nie należał do tego Stowarzyszenia. Oczywiście, dopiero po kilku latach! Z początku będą się zapewne śmiać; ale kto na takie rzeczy drażliwy, ten nigdy niczego nie spopularyzuje.

Wszystko to ma mieć na celu, żeby podać do powszechnej wiadomości to, co nauka już stwierdziła. Na tej dopiero podstawie, mając znaczną ilość członków i wielką popularność, można będzie skutecznie pomyśleć o dalszej części zadania, a mianowicie, ażeby ułatwiać uczonym ciąg dalszy badań, t. j. dokonywanie nowych odkryć z zakresu historyi lokalnej, któreby pomieszczało specyalne czasopismo. Założone zaraz na sa-

mym początku, mogłoby być obosieczną bronią, którąby można zwrócić przeciw Towarzystwu; zupełnie inaczej zaś będzie, gdy się do tego przystąpi później, gdy szerokie warstwy zaciekawią się do sprawy i poczną ją uważać za swoją. Wtenczas owszem, a na argument, że od tego Akademia, odpowie wtenczas ambicya krakowska, że któż, jeżeli nie Kraków, ma umniejszać Akademii kłopotów; kogóż, jeżeli nie mieszczan krakowskich, ma być stać na to, żeby sami pamiętali o swojej przeszłości i niepotrzebowali opieki instytucyi ogólno polskiej, która przy skromniutkich funduszach i tak żadną miarą starczyć nie może na potrzeby naukowe olbrzymiego obszaru dawnego państwa polskiego. Czyż fundusze naukowe Akademii nie powinny się zwracać przedewszystkiem ku tym ziemiom polskim, którym odebrano język i szkoły? Czyto Akademia mało dla Krakowa już zrobiła? Same tylko dwa kodeksy, wydane przez prof. Piekosińskiego, Kodeks m. Krakowa i Kodeks Katedry Krakowskiej, starczą już na wspaniały pomnik naukowy! Powinienby Kraków radzić sobie dalej sam — ale jakże to dziś wytłómaczyć, skoro w całem mieście niema ani setki „miłośników Krakowa“.

Byłoby to doprawdy dążnością godną nazwy ogólno narodowej, żeby tej Akademii ułatwiać zadanie, odejmując jej z galicyjskich trosk po kawałku, pozostawiając jej tylko to, w czem wyręczyć jej wogóle nie można, boć ona ma aż za wiele ogólnej roboty poza Galicyą! Może kiedyś o tem pomówimy zasadniczo. Narazie musimy jednak stwierdzić, że ze względów taktycznych Towarzystwo lepiej zrobi, jeżeli z początku bardziej będzie myśleć o mieszczaństwie, niż o tem, żeby być „filią Akademii“ w lokalnym zakresie. Narazie bowiem... któż w Krakowie wie, czem dla Polaka jest ta Akademia? Długiego rejestru pojęć błędnych w tej mierze nie spisałby na wołowej skórze!

Odwróćmy się ku jaśniejszej stronie przedmiotu. Jak to rozumny czyn rodzi szereg dalszych! Kilka lat zaledwie, kiedy gmina m. Krakowa zorganizowała należycie archiwum dziejowe miejskie, a już będziemy mieli odróśl tej instytucyi i to tak żywotną! Nowe Stowarzyszenie bowiem powstaje z inicyatywy dyrektora i asystenta tegoż archiwum, pp. St. Krzyżanowskiego i A. Chmiela. Szczęść Boże!

Czy Towarzystwo miłośników Krakowa obierze tę taktykę, którą my proponujemy, trudno przewidzieć. Może ją odrzuci, może obrać taką właśnie, którą uważamy za niestosowną. Korzystamy tedy ze sposobności, żeby oświadczyć zasadniczo, że w takim razie pozostaniemy również poplecznikami Towarzystwa. Skoro bowiem rzecz sama w sobie jest dobrą, popierać ją jest obowiązkiem (a wyraz ten nie znosi rozwlekłych interpretacyj). Zastrzegamy sobie prawo, ażeby w łonie Towarzystwa starać się zyskać większość dla naszych poglądów w sposób statutem przewidziany, ale zaczynamy od tego, że przystępujemy do niego bezwarunkowo i wszystkich czytelników „Światła“ do przystąpienia upraszamy; tych zaś, którzy nasz program podzielają, upraszamy i wzywamy; bo jakżeż można to przeprowadzić i coś zrobić, nie będąc tam członkiem? Wpisujmy się, ażeby mieć większość! Wszelkie inne postępowanie byłoby „kiwaniem głowami“, a my wolimy propagować „przyłożenie rąk“. Jeżeli zaś zrazu bylibyśmy w mniejszości, nie będziemy przecież robić *liberum veto*, bo to byłoby doprawdy zabawne. Krytyka nasza zmierza do czynu, nie zaś do tego, by czynom zawadzać — a tej różnicy „Światło“ będzie zawsze przestrzegać ściśle.

Kończymy życzeniem, żeby przykład urzędników krakowskiego archiwum, oddziałał na inne miasta. Możeby się to dało połączyć ze sprawą prowincyonalnych „Kółek naukowych“, zakładanych z inicyatywy nieodżałowanego śp. Ksawerego Liskego?

Z NOWYCH KSIĄŻEK.

„Podług litery prawa wszyscy obywatele Norwegii powinni służyć w wojsku, lecz służba ta u każdego znającego się na rzeczy, budzi tylko uśmiech politowania. W pierwszym jej roku nowozaciężni żołnierze odbywają ćwiczenia przez dwa lub trzy miesiące, mieszkają zaś nie w koszarach, lecz w urządzonych naprędce obozach. Podczas drugiego roku służby rekrut już tylko w przeciągu miesiąca musi brać udział w mustrze, poczem wraca do domu i po upływie lat kilku zapomina wszystkiego, czego się nauczył. Otóż cała armia norwegska składa się z 80.000 takich niby wyćwiczonych wojaków, którzy jednak podczas rzeczywistej wojny na nicby istotnie przydać się nie mogli.

Z drugiej strony jazda i artylerya nie posiadają własnych koni, lecz muszą je najmować u wieśniaków za pewną roczną opłatą, wyjątek zaś w tej mierze stanowi tylko parę bateryj i szkoła dla podoficerów jazdy, mające własne dość ładne konie. Flota wojenna w bardziej jeszcze opłakanym znajduje się stanie, gdyż nie ma nawet pół tuzina okrętów, któreby w razie wojny odważyły się wypłynąć z portu. Nie przeszkadza to jednak Norwegczykom być bardzo wojowniczymi w słowach i miotać gromy na wszystkich rzeczywistych lub urojonych nieprzyjaciół swego państewka, a zwłaszcza na Szwedów, z którymi łączy Norwegię związek osobisty i przymierze przeciw wszelkim zagranicznym wrogom.

Taki układ polityczny, stojący na przeszkodzie do ogłoszenia Norwegii rzecząpospolitą, drażni okropnie norwegskich dziennikarzy i polityków, a zwłaszcza tak zwaną lewicę, która obecnie stanowczą ma przewagę. Pomiędzy dwoma skandynawskiemi państwami toczy się przeto ciągła wojna, szczęściem bez rozlewu krwi, bo nie na placu boju, ale na papierze. Trudnoby zresztą wypowiedzieć istotną wojnę, mając na swe usługi armię, która pod względem ilości i jakości składowych czynników, zajmuje jedno z ostatnich miejsc w Europie“.

X. Marcin Czermiński T. J.: „W Norwegii i Laponii“. Kraków, 1897 (na str. 155).

„Życie nie jest zabawą. Ktokolwiek znaczniejszy szereg lat przeżył i rzuci wstecz okiem na przebyte pasmo dni swoich, spostrzeże nawet w prywatnem życiu wiele smutków, cierpień, boleści doznanych. W wyższym jeszcze stopniu dzieje się to w życiu publicznem, w którem twarda konieczność zmusza do ciągłej walki z przeszkodami, stawianemi przez przeciwne zdania lub namiętności polityczne, do walki między najlepszą czasem chęcią, a wymaganiami obowiązku. Twarda ta walka, której wrażeń nazewnątrz objawiać nie dozwala obowiązek, w długich i bezsennych nocach zatapia w serce swe kolce, a jedyna pociecha sumienie, pokrzepiające do dalszej walki przekonaniem spełnionego obowiązku".

„Mowy Juliana Dunajewskiego", Kraków, 1896 (na str. 334).

„Szczególniejsza to rzecz, te wybory, których w Austryi mamy rzeczywiście bardzo wiele; częste powtarzanie wyborów wywołuje rozmaite, nietylko polityczne, ale i społeczne szkody. Szczególniejsza to rzecz, te wybory, powtarzam. Aby myśli moje wyrazić jasno, pozwolę sobie na porównanie, że skutki ubiegania się o mandat czy to do Rady Państwa, czy do Sejmu, są zupełnie podobne do skutków konkurowania o pannę. Zdarza się bardzo często w życiu prywatnem, że najzacniejsi i najczcigodniejsi ludzie, starając się o rękę jednej i tej samej osoby, stają się nieprzyjaciołmi, używają środków, którychby nigdy inaczej nie używali, aby przeciwnika wysadzić ze siodła. Ponieważ zaś panna, przynajmniej w państwach chrześcijańskich, może wybrać tylko jednego, przeto powstaje między współzawodnikami przynajmniej na pewien czas uczucie nienawiści i zazdrości. Otóż p. X. jest w danym wypadku tym, któremu panna — mandat sejmowy — nie była przychylną. Boleści, której z tego powodu doznał, nie mógł na ciasnem terytoryum swego powiatu dość głośno objawić. Stamtąd niesłyszanoby go, ale zato w parlamencie wielkiego państwa poskarżyć się i pożalić — przynosi ulgę uciśnionemu sercu. Nie biorę mu też tego za złe".

Tamże, na str. 213.

„Kiedy pierwszy raz państwo rzymskie, już chrześcijańskie, użyło siły przeciw odszczepieńcom Donatystom, św. Augustyn zaprotestował i jasno sformułował zasadę cywilnej tolerancyi. Nawet w średnich wiekach, wśród tych surowych natur, zwierzchnicy Kościoła niejednokrotnie ganili gwałty i głosili zasadę, że nie godzi się siłą nawracać ani pogan, ani Żydów. Nie powiedziałbym więc, że nasz wiek odkrył zasadę tolerancyi, ale to tylko, że ją lepiej w życie wprowadził, dzięki ogólnemu złagodzeniu obyczajów, wskutek powolnego dojrzewania pierwiastków cywilizacyjnych, które w łonie chrześcijaństwa od początku tkwiły. I dziś jeszcze, niestety, ta zasada nie wszędzie jest przeprowadzona".

X. Maryan Morawski T. J.: „Wieczory nad Lemanem", Kraków, 1896 (na str. 21).

„Nawet ewolucyjne powstanie człowieka — jakkolwiek daleko mu do tego, żeby było nauki zdobyczą — nie jest w zasadzie przeciwnem religijnemu pojęciu. Jakimkolwiek sposobem człowiek z mułu ziemi został wytworzony, w każdym razie jest tworem Boga, który cały ten rozwój kosmosu zamierzył. Jakimkolwiek sposobem zdobył człowiek swe pojęcia moralne, estetyczne, religijne, w każdym razie, gdy przyszedł do poznania siebie, natury i Boga, winien Bogu cześć oddać, i prawo moralne, które w swem sercu znajduje, jako Boże pełnić — a w tem jest istota religii.

Może być, że w tym poglądzie to i owo zawadza o jaki szczegółowy dogmat pewnych wyznań chrześcijańskich, może coś w nim uchybia teologii katolickiej; ogólna jednak myśl tego poglądu z zasadniczemi ideami chrystyanizmu godzi się najzupełniej. Spostrzegam zresztą, że i między katolikami nie brak wybitnych ewolucyonistów. Faktem jest, że znakomity darwinista Miwart jest katolikiem, i że dzieło, w którem dowodził zgodności ewolucyonizmu ze staremi katolicyzmu powagami, dedykował kardynałowi Newmanowi, a ten dedykacyę przyjął. Pamiętam, że św. Augustyn w swej księdze *de Genesi ad literam* przypuszcza, że Bóg na początku stworzył w stanie „potencyonalnym i zarodkowym" wszystko, co miało później rozwinąć się i ujawnić stopniowo. I tę hipotezę rozciąga Augustyn nawet do duszy ludzkiej — nie w tym sensie, jakoby duszę identyfikował z materyą, ale że i ją uważa za pierwiastek, który mógł najpierw istnieć potencyonalnie, a potem się rozwinąć.

Oto, moi panowie, przykład afirmacyi chrześcijańskiej, która staje poza terenem nauki, nietylko ówczesnej, ale — co warto zauważyć — i dzisiejszej. Ta ostatnia bada, czy i jakim sposobem z pierwiastków rozwinęły się rozmaite formy; pierwsza przez usta Augustyna twierdzi jedynie, że te pierwiastki, płodne w takie skutki, ręką Bożą posiane zostały".

Tamże, na str. 29.

Dla braku miejsca musimy artykuł „o kinematografie" odłożyć do następnych numerów. Wkrótce rozpoczniemy druk powieści Sewera: „Matka". Przy większej ilości prenumeratorów, jesteśmy gotowi drukować dwie powieści równocześnie. Dołożymy wszelkich sił, ażeby pismo nasze stopniowo podnosić; liczymy jednak na poparcie całej intelligencyi, bo chyba każdemu powinno zależeć na tem, ażeby utrzymało się u nas poważne pismo illustrowane, jedyne, niezależne od cenzury warszawskiej. Zapraszając do prenumeraty bajecznie zaiste taniej, dodajemy, że pragnęlibyśmy „Światło" zamienić na tygodnik, **nie podwyższając ceny.**

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Dr. Feliks Koneczny.** — Druk W. L. Anczyca i Sp. w Krakowie.